

Andrzej Marek Dębkowski

SERCE Z GUZIKÓW

Andrzej Marek Dębkowski

SERCE Z GUZIKÓW

Wersja Demonstracyjna

Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Andrzej Marek Dębkowski
„Serce z guzików”

Copyright © by Andrzej Marek Dębkowski, 2018
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie
może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: Renata Grześkowiak
Skład epub, mobi i pdf: Kamil Skitek

ISBN: 978-83-8119-393-1

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
http://www.psychoskok.pl/
http://wydawnictwo.psychoskok.pl/
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

Dziękuję Panu Rotmistrzowi Sławomirowi Ziętarskiemu – dowódcy Ochotniczego Szwadronu 18 Pułku Ułanów Pomorskich za udostępnienie zdjęć.

Wielka miłość jest jak prawda,
nie szukaj jej i tak przyjdzie kiedyś sama
na twoje podwórko.

Od autora

Lektura, którą oddaję w ręce czytelników, nie jest oparta na faktach, datach czy mapach, mimo że bohaterowie osadzeni są w realiach drugiej wojny światowej i czasów powojennych. Czy ich sobie wymyśliłem? Tak, choć Alina mi się przyśniła. Sytuacje, osoby, nazwiska, pseudonimy, nazwy miejscowości i zdarzenia historyczne zostały wykreowane na potrzeby fabuły i nie pokrywają się w stu procentach z prawdą historyczną.

Pisząc tę książkę, moje serce żyło miłością głównych bohaterów, a wojna i PRL były tylko tłem tamtych niełatwych, rozdartych polskich spraw.

Utwór ten dedykuję kochającym, kochanym i zakochanym.

Wrześniowe słońce 1939 roku przypiekało mocno. Stefania kopała ziemniaki. Mocno uderzała motyką w twardą ziemię, potem zbierała je i wrzucała do kosza.

W pewnej chwili usłyszała warkot samolotów, lecących od zachodu wzdłuż torów kolejowych wiodących do Warszawy. Zrobiła z dłoni daszek i patrzyła na połyskujące skrzydła. Przez szybę w kabinie widać było pilotów. „To pewno nasi" – pomyślała i w tym momencie usłyszała serię z karabinu maszynowego. Kule gwizdały, a nać z ziemniaków podskakiwała do góry, jakby tańczyła na wietrze. Przerażona Stefania upadła w redlinę. Niemieckie samoloty przeleciały nad jej głową. Wystraszona biegła bardzo szybko w stronę domu, potykając się o grudy ziemi rozkopanej po ziemniakach. Wbiegła na podwórze. Jej trzej bracia zdążyli już załadować na wóz najpotrzebniejsze rzeczy: pierzyny, sienniki, ubrania, jedzenie, sieczkę i owies dla konia. Marcin, ojciec Stefanii, wyprowadził z obory łaciatą krowę i przywiązał ją do wozu, mama wyłapała kury i włożyła je do drewnianej klatki, którą zaniosła na wóz. Czekali tylko na nią, mama podała jej rękę i wszyscy usiedli ściśnięci na wozie. Marcin zaciął konia batem i wóz zaklekotał drewnianymi kołami.

– Tato, stój! – krzyknęła Stefania. Marcin zatrzymał konia i spojrzał na córkę.

– Zobacz, Bielas na łańcuchu został! Zeskoczyła z wozu, podbiegła do Bielasa i zdjęła mu obrożę z szyi.

– Chodź z nami! – zawołała do psa, który zadowolony z wolności pobiegł w inną stronę, po chwili jednak wrócił i biegł za wozem. – Chodź do mnie – zapraszała go ręką, ale on zawieruszył się gdzieś w tłumie uciekinierów idących od

Warszawy.

Kiedy wrócą po kilku tygodniach domu już nie będzie, znajdą tylko poparzonego Bielasa, ocaleje też stodoła, w której zamieszkają. Podczas późniejszych bombardowań Warszawy i okolic bomba wielkości kosza na ziemniaki, zrzucona przypadkowo z samolotu na ich gospodarstwo, pogrzebie całą rodzinę.

Koń ruszył, uciekali w stronę Puszczy Kampinoskiej, gdzie mieszkała siostra Marcina, Jadwiga. Musieli jeszcze przebrnąć przez ruchliwą ulicę wiodącą z Poznania do Warszawy, pełną uciekinierów i porzuconych taborów. Marcin zatrzymał konia i poczekał, aż będzie mógł przejechać na drugą stronę jezdni i wjechać w polną drogę prowadzącą do lasu. Mieli nadzieję, że tam będą bezpieczni. Jednak wozów przybywało, posuwali się wolno. Gdy minęli pierwsze brzozy rosnące na skraju lasu, z zagajnika wynurzyło się trzech ułanów na koniach, którzy zajechali im drogę. Marcin zatrzymał wóz, córka zeskoczyła i podbiegła do nich. Wyglądali jak posągi. Konie były pokryte pianą, Stefania przeciągnęła ręką po końskim grzbiecie. Porucznik siedzący na koniu zapytał:

– Gdzie mogą być Niemcy?

Stefania odparła:

– Widziałam ich, gdy przekraczaliśmy szosę z Poznania do Warszawy. Jechali na motocyklach, a za nimi kilka odkrytych samochodów, w których siedzieli niemieccy żołnierze z bronią.

Oczy Stefanii i porucznika spotkały się na chwilę, nie widziała w nich strachu. Oficer wyprostował się i zasalutował. Zawrócił konia i cała trójka ułanów zniknęła w gęstych sosnach, które jeszcze przez chwilę poruszały się, zakrywając końskie zady.

Stefania pomyślała, że koń porucznika ma wyjątkowo czarne umaszczenie. Widok ułanów uspokoił ją nieco. Stała jeszcze przez chwilę, rozmyślając, czy przy tak dużej liczbie Niemców zdołają się przebić do swoich. Potem podbiegła do wozu, wsiadła i ruszyli dalej.

* * *

Porucznik Andrzej Ozderski zastanawiał się, w którą stronę mają się udać, by wyjść z oddziałem z okrążenia. Twarz miał poważną. Za nim jechał kapral Jan Zieliński i ułan Pokora. Porucznik nigdy nie pamiętał jego imienia. Po kilkunastu minutach dotarli do swojego oddziału, który stał na leśnym dukcie, czekało tam na nich trzydziestu ułanów. Żołnierze nawet nie zsiedli z koni, tylko tkwili w siodłach. Konie parskały i nerwowo kopały kopytami w miękkim mchu i piasku. Porucznik podjechał do wachmistrza Rocha Kordysza. Ten spojrzał na niego i zapytał:

– Gdzie Niemcy, czy czegoś się pan dowiedział?

– Tak, są kilkanaście kilometrów od Warszawy – odparł porucznik. – Jadą szosą Warszawa – Poznań.

– Panie poruczniku, to jutro pewno będą w Warszawie, niech pan poda mapnik, to wspólnie wytyczymy drogę wyjścia z okrążenia i poszukamy kontaktu z pułkiem – zaproponował wachmistrz.

Porucznik wiedział, że Roch Kordysz zna się na tym jak mało kto. Był doświadczonym podoficerem. Szanował swoich żołnierzy i dbał o konie, którym nie pozwoliłby zrobić krzywdy.

Obydwaj spojrzeli w mapnik. Andrzej ciągnął ołówkiem po mapie. Szybko podjął decyzję.

– Przebijamy się do miejscowości Maćkowa Wieś – zadecydował.

– Prowadź – pokazał ręką Andrzej.

Roch spojrzał na jego skórzane, niegdyś czyste rękawiczki, teraz zniszczone i brudne od kurzu. Spiął konia i popędził na czoło oddziału. Porucznik poczekał aż cały oddział ruszy, a sam, ubezpieczając wyczerpanych żołnierzy, pojechał na końcu. Oddział ruszył lekkim kłusem. Konie były już zmęczone, miały za sobą wiele kilometrów. Chciało im się pić, a żołnierze chcieliby odpocząć. Porucznik, jadąc, analizował sytuację. „Kiedy wszystkie drogi od dwóch dni są już odcięte przez siły nieprzyjaciela i nie jesteśmy w stanie nawiązać kontaktu z pułkiem, może by zaatakować, stoczyć bitwę, wystrzelić ostatni nabój i zginąć. Albo spróbować obejść Niemców lasami i wydostać się z zaciśniętego pierścienia” – zastanawiał się porucznik.

Był dwudziestosiedmioletnim oficerem i poetą. Skończył też studia humanistyczne, choć jego rodzice chcieli, by zajmował się gospodarstwem i hodowlą koni. Powędrował w myślach do rodzinnego gospodarstwa. Była to ziemiańska posiadłość z licznymi końmi, które były obecne wszędzie: w stajniach, na padoku, łąkach, przy wodopoju. Znał wszystkie. Wspaniale jeździł konno, była to zasługa jego mamy. W niedzielę wcześnie rano budziła go na przejażdżkę pocałunkiem w czoło. Nawet gdy miał już dwadzieścia lat, obruszał się za to bardzo i mówił do niej „Mamo, a jak ktoś zobaczy?”. Gładziła go wtedy dłonią po policzku albo przeczesywała mu bujną czuprynę. Miała takie

delikatne dłonie i ciepłe usta. Mknęli konno przez pola na oślep. Żyto czesało mu buty, a suknia mamy jak jedwab osuwała się na siodło i podnoszona wiatrem z powrotem na nie opadała. Starał się jej nie wyprzedzać, lubił się jej przyglądać. Śmiała się, od czasu do czasu uderzając klacz szpicrutą. Na miesiąc przed wojną podczas takiej końskiej eskapady zatrzymali się koło studni, która tkwiła wśród pól, przy rozwalającym się domu. Mama wtedy zsiadła z konia, podeszła do niego, wzięła za ręce i powiedziała:

– Kocham cię, mój synu, nad życie. Gdybyś kiedykolwiek pokochał kobietę, jak ja kocham ciebie, nad życie – byłabym szczęśliwa.

Zdjęła z szyi srebrny łańcuszek z krzyżykiem, założyła mu go na szyję i jeszcze raz powtórzyła:

– Jeżeli ona pokocha ciebie tak jak ja, nad życie, to podaruj jej ten łańcuszek.

Roześmiał się wtedy i odpowiedział:

– Mamo, wojny nie będzie. Anglia i Francja szybko rozprawią się z Hitlerem.

Zamyśliła się, nigdy jej tak poważnej nie widział. Spuściła oczy i patrzyła mu pod nogi.

– Ale matczyne serce wie, zawsze wie, zawsze tak było – pociekły jej z oczu łzy.

– Mamo!

Przytulił się do niej i mocno uścisnął. Wyjął z kieszeni białą chusteczkę i wytarł jej mokre policzki. Usiedli na brzegu cembrowanej studni i uśmiechnęli się do siebie – Pewno masz rację synu, wojny nie będzie.

Pocałowała go w czoło i zgrabnie dosiadła klaczy.

– Dogoń mnie! – rzuciła ze swadą przez ramię.Spiął konia, by jak najszybciej ją dogonić.

Nagle ocknął się ze wspomnień, zobaczył przed sobą ułana, który zmęczony przysypiał w końskim siodle. Porucznik wciąż czuł na twarzy pocałunek mamy. Skręcił konia w lewo i popędził długą piaszczystą leśną drogą na czoło oddziału.

– Dobrze, że pan jest, panie poruczniku – zameldował wachmistrz Roch Kordysz.

– Jesteśmy już prawie we wsi, chyba udało nam się wymknąć z okrążenia.

Porucznik zasalutował i ruszył w dalszą drogę na czele oddziału.

Na skraju Maćkowej Wsi stał duży dom, a obejście wydawało się porucznikowi akurat wystarczające dla postoju. Bliskość lasu dawała poczucie bezpieczeństwa, gdyby potrzeba było odskoczyć od wroga. Kiedy nadjechali, brama otwarta była na oścież. Duże wrota zdawały się zapraszać strudzonych podróżnych. Na środku podwórka stała olbrzymia kamienna studnia z poidłami dla zwierząt. Koń porucznika wiedziony jej widokiem albo zapachem wody w poidłach sam skręcił i wszedł na podwórze, a za nim reszta oddziału. Zatrzymał się przy wiadrze, które zwisało na drewnianym kiju, uczepione nad studnią. Schylił łeb i zajrzał do pustego kubła. Zmęczony porucznik ześlizgnął się z siodła, chwycił za wygładzony dłońmi drewniany drążek studziennego żurawia i opuścił wiadro do studni. Zaczerpnął wodę i postawił je na brzegu studni. Woda chlupała, wylewając się na prawo i lewo. Chciał się napić, ale przypomniał sobie niepisane prawo ułana: najpierw napoić

konia. Oparł więc wiadro o swoje udo i patrzył na Diabła pijącego wodę – tak go nazywał. Ojciec wybrał mu tego ogiera z całej stadniny w dniu wyjazdu syna na wojnę. Pamiętał jego słowa.

– Niech Pan Bóg ma cię w swojej opiece, a ten koń niech cię zawsze wyprowadzi z każdej trudnej sytuacji.

Uścisnął mu rękę tak mocno, jak nigdy dotąd. Ojciec był twardym, małomównym, barczystym mężczyzną z sumiastymi wąsami. Syn pierwszy raz widział jego załzawione oczy. Porucznik przypomniał sobie słowa mamy, która zawsze mówiła o tacie, że jest twardy na zewnątrz, ale w środku to wspaniały i dobry człowiek.

Odruchowo dotknął swoich wąsów. Gdzie im tam do wąsów taty.

Koń wypił już wodę i trącił go łbem, prosząc o jeszcze. Zanurzył więc jeszcze raz wiadro i nabrał wody. Kiedy wiadro wędrowało do góry, zauważył obok siebie parę damskich bucików, potem spódniczkę, wciętą talię, białą bluzkę, potem ręce, które trzymały wiadro, długą szyję, włosy czarne jak smoła i oczy tak przyciągające wzrok, że kiedy się wyprostował, omal nie wylał na siebie wody. Postawił wiadro na ziemię.

– Porucznik Andrzej – zasalutował, przedstawiając się. Był tak oczarowany dziewczyną, że zapomniał, jak się nazywa. On, taki obyty, dobrze wychowany, uwielbiany przez damy i sąsiadki. Zasalutował jeszcze raz, obciągając mundur.

– Pani pozwoli, że się przedstawię. Porucznik Andrzej Ozderski.

Wyciągnęła do niego delikatną dłoń. Ujął ją i pocałował. Miała odciski na ręku od wewnętrznej strony dłoni. Andrzej usłyszał

miękki, ale stanowczy głos.

– Mam na imię Alina, Alina Kilanowska.

Dotarło do niego dopiero teraz, że on też ma imię i nazwisko, nie jest tylko „panem porucznikiem”. Uświadomiła mu to ta dziewczyna stojąca z wiadrem przy studni, tak zjawiskowo piękna, o rysach Afrodyty, ciele Wenus i łabędzich ruchach. Tak zareagowała jego poetycka dusza, dyktując sercu werset za wersetem, że w ciągu sekundy mógłby napisać poemat miłosny.

Alina podniosła na niego wzrok. „Andrzej” – pomyślała. Twarz jej promieniała. Poruszyło się w niej coś, gdzieś na samym dnie serca i ciepło przepłynęło po całym ciele. Nie mogła ruszyć się z miejsca. „Andrzej, Andrzej… Ładnie” – powtarzała cichutko. Stali tak naprzeciwko siebie i wszystko wirowało wokół nich jak w zwolnionym tempie. Andrzej nie myślał, że zobaczy kobietę, która wywrze na nim tak wielkie wrażenie, że on, humanista, poeta będzie szukać w poematach całego świata odpowiedniego słowa, by wyrazić jej urodę. A ona nie doświadczyła nigdy uderzenia takiego gorąca. „Andrzej, Andrzej... Ładnie” – wciąż powtarzała w myślach.

Stali tak dobre kilka minut. Z zamyślenia wyrwał ich głos wachmistrza Rocha.

– Panie poruczniku! Panie poruczniku! Czy możemy zsiąść z koni?

Andrzej tylko skinął głową na znak, że się zgadza na odpoczynek i postój swojego oddziału. Poprosił Alinę o wiadro. Podała mu je, stojąc nieruchomo. Patrzyła, jak zakłada wiadro na hak, zanurza w wodzie i wyciąga do góry.

– Pozwoli pani, że zaniosę wiadro do domu – zaoferował pomoc.

Wtedy do niej dotarło, że to nie sen, że się nie obudzi, że to dzieje się naprawdę.

– Więc zapraszam pana do domu – powiedziała, uśmiechając się.

Ten uśmiech Andrzej zapamięta na całe życie. Wiele razy będzie go sobie przypominał.

Alina poszła pierwsza, otwierając drzwi do domu. Andrzej wszedł za nią do olbrzymiej kuchni, gdzie pośrodku stał mocny dębowy stół i sześć krzeseł. Przez duże, jak na tamte czasy, okno było widać las, a obok wysokie dęby. Na parapecie stała lampa naftowa i czerwone pelargonie. Postawił wiadro z wodą tuż obok kuchni, gdzie siedział szczupły mężczyzna o bujnych włosach i starannie przystrzyżonej brodzie z fajką w ustach.

– Mój tata, Tomasz Kilanowski. – Alina przedstawiła mężczyznę.

Tomasz wstał, wyjął fajkę z ust i pierwszy podał rękę Andrzejowi.

– Witam, panie poruczniku.

– Porucznik Andrzej Ozderski. – Przedstawił się i uścisnął rękę ojca Aliny. – Chciałbym poprosić o zakwaterowanie dla moich żołnierzy oraz wodę i siano dla koni.

Tomasz włożył na siebie kurtkę i skierował się w stronę drzwi.

– Dopilnuję, żeby żołnierzom nie zabrakło jedzenia, a koniom siana – powiedział i wyszedł, zamykając za sobą ciężkie drzwi.

Andrzej stał pośrodku kuchni. Alina wytarła stół i położyła na nim biały, ręcznie haftowany obrus.

– Zapraszam panie poruczniku.

– Przecież przedstawiłem się – przypomniał jej. – Niech mi

pani mówi Andrzej.

Oboje roześmieli się.

– Może herbaty, Andrzeju?

– Chętnie, Alino.

„Alino” brzmiało w jego uszach i głowie niczym muzyka. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Patrzył na nią, jak nalewa herbatę do filiżanki i stawia przed nim na stole.

Wypił łyk, popatrzył jeszcze raz w jej oczy i powiedział miękkim, ciepłym głosem:

– Wiesz, Alinko, czasy są wojenne i nie mogę myśleć tu o etykiecie, ale powiem ci prosto z serca, że zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia – wyznał. – Żadna panna w moim życiu nie wywarła na mnie tak wielkiego wrażenia jak ty – kontynuował. – Mam dopiero dwadzieścia siedem lat, ale przysięgam ci tu i teraz, że wrócę do ciebie, czy dniem, czy nocą, wiosną, czy zimą. Tak mi dopomóż Bóg. – przysiągł Andrzej i po chwili dodał: – Jeszcze jedno. Rano musimy wyruszyć, więc jeśli nic się nie zmieni – nagle zawiesił głos, podszedł do okna, wskazał na trzy dęby rosnące pod lasem – będę tam czekał na ciebie wieczorem.

Alina stała z filiżanką herbaty w dłoni. Spodek dźwięczał o filiżankę, choć chciała ukryć wzruszenie i aprobatę dla jego pomysłu. Wiedziała, że czasu jest mało i mogą się już nie zobaczyć, a tego by sobie nie wybaczyła. Podeszła do Andrzeja, ujęła jego dłonie w swoje ręce i powiedziała:

– Przyjdę wieczorem i będę czekała dzień i noc, wiosnę i zimę. Tak mi dopomóż Bóg.

Ta krótka chwila, to spotkanie zmieniło ich życie na zawsze.

Do kuchni wszedł kapral Jan Zieliński, zasalutował, uderzył obcasami i zapytał:

– Jak długo zostaniemy, panie poruczniku?

– Póki nie pojawią się Niemcy – odparł Andrzej. – Może do jutra rana, rozstawcie warty.

Kapral zasalutował i wyszedł. W kuchni pojawił się ojciec Aliny.

– Panie poruczniku, nakarmiłem już pańskich żołnierzy chlebem i słoniną, a konie dostały siana. – Usiadł przy stole i poprosił córkę o herbatę. – Gdyby to były inne czasy, napilibyśmy się dereniówki, ale czasy są wojenne, dowódca odpowiada za swoich żołnierzy, musi być trzeźwy. – Tomasz zamyślił się, ale po chwili trzeźwo zapytał: – I co dalej, panie poruczniku? Jak przyjdą Niemcy, to co?

– Będziemy musieli wynieść się do lasu i poszukać swojego pułku – odparł Andrzej.

Słysząc zakłopotanie w głosie Tomasza, Andrzej zrozumiał, że muszą wyruszyć stąd przed wieczorem. Bo gdyby przyjechali Niemcy i rozpętałaby się walka, to dom i gospodarstwo zostałoby zniszczone. A tego Andrzej by nie chciał. Przysiągł Alinie, że do niej wróci.

– Przepraszam, ale muszę dojrzeć swoich żołnierzy – zwrócił się do Aliny. Zasalutował i wyszedł.

Jeszcze przez chwilę słyszała odgłosy jego butów.

Żołnierze go lubili, byli tak samo młodzi jak on i tak samo ufali alianckim zapewnieniom, że pomoc przyjdzie bardzo szybko. Andrzej zwrócił się do wachmistrza Kordysza:

– Za godzinę się wynosimy. Wieczorem musimy być w lesie.

Potem wszedł do stajni i podszedł do Diabła. Wziął szczotkę i zaczął czyścić końską sierść długimi, posuwistymi ruchami. Cały czas myślał o Alinie. Zdawało mu się, że to jej przeczesuje krucze włosy. Koń stał spokojnie, lubił, gdy Andrzej się nim zajmował.

Alina w tym czasie przygotowała posiłek. Wybiegła z domu, szukając wzrokiem Andrzeja. Weszła do stajni. Przez chwilę przyglądała się, jak delikatnie przesuwa szczotką po końskiej sierści. Był przystojny, szczupły, dobrze zbudowany. Koń wyczuł jej obecność i parsknął. Andrzej i Diabeł odwrócili się jednocześnie. Spojrzeli na Alinę. Stali w półmroku, ona zaś w pełnym świetle drzwi stajni. Andrzejowi zdawało się, że widzi postać swojej mamy. Lubiła stać w drzwiach stajni i rozmawiać z końmi. Diabeł poruszył się i musnął go chrapami po twarzy, wtedy Andrzej usłyszał głos Aliny.

– Zapraszam na spóźniony obiad, panie poruczniku – zaśmiała się.

Andrzej wyszedł ze stajni, wytarł dokładnie buty. Podszedł do niego ułan Pokora i zasalutował. Andrzej przypomniał sobie wtedy jego imię – Ksawery.

– To może ja bym, panie poruczniku, pańskiego konia osiodłał i przygotował do drogi?

– Dobrze – odpowiedział Andrzej. Wiedział, że Diabeł tolerował Ksawerego i pozwalał mu się do siebie zbliżać.

Andrzej ruszył w stronę domu, jeszcze raz wytarł starannie buty o drewnianą wycieraczkę i wszedł do kuchni. Za stołem siedział ojciec Aliny i szerokim gestem zapraszał go do stołu.

– Czym chata bogata, zapraszam panie poruczniku.

Alina krzątała się przy kuchni i za chwilę ciepły obiad stał na stole.

– Niech pan zje rosół – powiedziała i znowu się roześmiała. To pana wzmocni, a sił panu będzie dużo potrzeba na poczynione śluby.

Tomasz zatrzymał na chwilę łyżkę i powtórzył pytająco słowa córki: „Na poczynione śluby?", po czym sam sobie odpowiedział „Chyba dla Polski". Kiedy zjedli, rozmowa zeszła na tematy rodzinne. Ojciec Aliny wypytywał Andrzeja, skąd pochodzi i kim są jego rodzice.

Zaczęło zmierzchać.

– Na nas już czas – oświadczył Andrzej i podniósł się zza stołu. Zapiął pas i trzymając w jednej ręce czapkę, drugą rękę podał Tomaszowi. Uścisnęli się mocno. Alina założyła szal i delikatnym głosem powiedziała:

– Odprowadzę pana, poruczniku.

Wyszli przed dom. Cały oddział stał gotowy do wymarszu.

Alina ukradkiem wzięła go za rękę.

– Przyjdę – szepnęła.

– Będę czekał – odrzekł, całując na pożegnanie jej dłoń.

Wsiadł zgrabnie na konia, dał znak ręką. Oddział ruszył przez otwartą bramę wprost na piaszczystą drogę. Andrzej zawrócił konia, jakby chciał tu zostać na zawsze i czekał aż cały oddział przedefiluje. Potem spojrzał jeszcze raz na stojącą przed domem Alinę, tak jakby chciał zapamiętać to miejsce na zawsze.

– Wrócę – powiedział sam do siebie.

Oddział jechał stępa, nie spieszyli się, jakby pobyt u Tomasza

przybliżył im dom rodzinny, a teraz znów dostali powołanie do wojska i musieli się stawić na leśnej kwaterze. Kiedy wjechali do lasu, wachmistrz wskazał miejsce na postój.

– Panie poruczniku, staniemy niedaleko, bo musimy mieć baczenie na wieś i drogę.

Andrzej kiwnął głową i zsiadł z konia. Wyciągnął mapę i długo się w nią wpatrywał. Rozważał różne warianty taktyczne na wypadek pojawienia się Niemców. Analizował też, gdzie dokładnie znajduje się Maćkowa Wieś, gdyby chciał tu wrócić po kilku miesiącach, bo według niego wojna miała tyle trwać. Po chwili wstał, schował mapę i spojrzał na Rocha.

– Muszę jechać – oznajmił krótko. – Gdyby coś się działo, to jestem w pobliżu, obserwujcie drogę i wieś.

Wsiadł na konia i odjechał. Trzy dęby rosnące pod lasem były w odległości kilkuset metrów od obozowiska. Kiedy dojechał na skraj lasu, zatrzymał konia, przywiązał go do drzewa, a sam usiadł pod jednym z nich. Nagle Diabeł spłoszył się i niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Andrzej wstał zaniepokojony. Od strony wsi usłyszał warkot motocykli. Popatrzył w stronę domu Aliny. Stojąca w oknie lampa nagle zgasła.

– Niemcy – powiedział sam do siebie. – Zaatakujemy.

Ale jechało ich coraz więcej. Niemiecki język słychać było coraz głośniej. Andrzej spojrzał w okno Aliny i pomyślał, żeby zobaczyć ją choć jeszcze raz.

Alina uczesała włosy, zaplotła warkocz i narzuciła chustę, właśnie miała wyjść z domu, kiedy usłyszała odgłos motocykli. Wiedziała, że Andrzej na nią czeka. Zapaliła lampę, stanęła w oknie i pomachała mu ręką. Widział ją z daleka. Ojciec ze

względów bezpieczeństwa natychmiast kazał jej zgasić lampę. Potem podszedł do niej i pogłaskał ją po głowie. Przytuliła się do jego piersi, a z oczu pociekły jej łzy. Zrozumiał, że zakochała się w poruczniku.

Andrzej wiedział, że Alina już nie przyjdzie, wyjął bagnet i na jednym z dębów ściął korę aż do żywego pnia. Ostrym czubkiem bagnetu nacinał na drzewie punkty w kształcie serca. Uderzał w rękojeść bagnetu dłonią, nie czując bólu, potem odcinał guziki z munduru jeden po drugim i wbijał je w miejsca nacięć. Guziki uformowały piękne serce. „Będzie wiedziała, że tutaj byłem i na nią czekałem" – pomyślał Andrzej. Schował bagnet i ruszył w stronę Diabła, który już się niecierpliwił. Dosiadł go, lecz po chwili zatrzymał, zsiadł z konia i podszedł jeszcze raz do drzewa. Z serca kapały już soki. Zdjął z szyi łańcuszek z krzyżykiem, odpiął małą zapinkę i zsunął krzyżyk z łańcuszka. Wyjął jeden z guzików, założył na niego kółko z krzyżykiem i wbił z powrotem guzik na swoje miejsce. Krzyżyk zakołysał się i zawisł pośrodku serca. Spojrzał jeszcze raz w okno Aliny, a potem na krzyżyk. Zabrzmiały w jego uszach słowa matki „Jeżeli ona pokocha ciebie, jak ja, nad życie, to podaruj jej ten łańcuszek z krzyżykiem".

Koń niecierpliwił się i parskał. Andrzej dosiadł go jednym susem i zniknął w lesie. Kiedy dołączył do oddziału, żołnierze byli już gotowi do drogi, stanął na ich czele i skinieniem ręki dał znak do wymarszu.

Koniec Wersji Demonstracyjnej